

Skrzypienie osi świata. O poezji Feliksa Netza.



fot. Agencja Gazeta

Edward Zyman

Gdy po raz kolejny odłożyłem *Krzyk sowy* na biurko, gdzie leżały cztery inne książki poetyckie Feliksa Netza, do których w ostatnich dniach również wracałem po wielekroć, uświadomiłem sobie, że oto przeczytałem nie kolejny, ostatni już tom w dorobku pisarza, lecz jego poetycką spowiedź. Rodzaj testamentu i zarazem przesłania, adresowanego do jego czytelników, których śmierć jeszcze śpi, zwodząc ich swą obojętnością, a może nadmiarem pracy. I dlatego nieskorych do boleśnie

szczerých rozmów, które wcześniej czy później muszą ze sobą przeprowadzić. Zadać sobie kilka podstawowych, rudymenarnych pytań: o sens ich ziemskiej wędrówki. Feliks Netz chciał i zdążył – dla siebie i dla nas – pytania te sformułować.

1

Krzyk sowy to niewątpliwie najważniejszy obok *Trzech dni nieśmiertelności* tom poetycki Feliksa Netza. Ze względu na zakres i gęstość zawartych w nim problemów, a także artystyczną precyzję i moralną żarliwość ich ekspresji jest tematem sam w sobie, lecz równocześnie stanowi ważne ogniwo w całościowym obrazie dokonań tego pisarza. Można go czytać, jako książkę oddzielną, i tak zapewne wielu uczyni, ale lepiej, z większym pożytkiem – dla czytającego i dla autora – przyswajać zawarte w nim piękne i mądre wiersze w kontekście szerszym. Uwzględniając inne dzieła Netza, takie przede wszystkim jak powieści *Urodzony w święto zmarłych* i *Dysharmonia caelestis*, wspomniany tom *Trzy dni nieśmiertelności* (a także zbiory wcześniejsze, zwłaszcza *Wir*) i nade wszystko eseistyczny zbiór *Ćwiczenia z wygnania*. Dopiero wówczas, odnajdując wspólne tropy i wątki, wyłapując kontekstualne związki, w jakie wchodzą z sobą te książki, a także słuchowiska radiowe (myślę tu przede wszystkim o znakomitym *Pokoju z widokiem na wojnę polsko-jaruzelską*), krytyka filmowa i teksty publicystyczne, ujrzymy w pełnym kształcie najważniejszy dylemat konstytuujący pisarstwo Netza, zwłaszcza zaś jego fazę ostatnią. Ów dylemat to odnajdywanie przez pisarza swojej – jako człowieka i artysty – tożsamości oraz artykulacja, przytoczę w tym miejscu niezwykle trafne określenie Jarosława Marka Rymkiewicza: *świadectwa tutejszego istnienia*.

Określenie to, zastosowane do powieści *Urodzony w święto zmarłych*, przystaje także do pozostałych wymienionych przeze mnie książek. Tutejszego, czyli dotyczącego Górnego Śląska, głównie Katowic, w krótkim epizodzie tyle aroganckiej, co bezmyślnej historii nazwanych Stalinogrodem. Ale można i trzeba je rozumieć również szerzej – jako doświadczenie każdego myślącego mieszkańca PRL, odczuwającego na co dzień skutki opresyjnego uścisku autorytarnej władzy, a także innych krajów środkowej Europy, doznających dotkliwych konsekwencji pojałtańskiego porządku.

W tomie *Ćwiczenia z wygnania* szczególną uwagę zwraca esej „Stary człowiek z San

Diego". W jego części zatytułowanej „Morfologia wygnania” Netz przytacza słowa Sándora Máraia, który w swoim *Dzienniku* pod datą 1 maja 1948 roku zanotuje: „Miasto [Budapeszt - E. Z.] pływa w czerwonym soku. Nad bramami domów portrety Marksa, Lenina, Stalina, Táncsicsa, Kossutha, Petőfiiego, Gerő i Rajka”. I tłumaczy, dlaczego rychły emigrant zatrzymuje wzrok na takich właśnie scenach:

Bo obrażają jego poczucie smaku. Stalin obok Kossutha. To usłużna głupota. Ale Gerő obok Petőfiiego - to coś gorszego. To wielka nieprzyzwoitość. To jest, jakby powiedział Josif Brodski: 'dowód na wulgarność serca'. Dalej żyć z tym nie sposób. Jeszcze można szukać oparcia w wisielczym humorze, jeszcze można uciec się do pointy rodem z teatru absurdu, ale pod tymi paroma zdaniami kryje się wstrząsające doznanie etycznego kiczu. Są ludzie, którzy nie potrafią żyć pod panowaniem wszechwładnego kiczu.

Należał do nich Feliks Netz. Ale w przeciwieństwie do Máraia, żył w kraju monstrualnego kiczu, nie biorąc nigdy w rachubę możliwości emigracji. Zbyt silnie czuł się związany z odzyskaną niejako prywatnie ojczyzną, by miał z niej zrezygnować nawet w sytuacji najtrudniejszej. Żył więc i - mówi o tym jego twórczość - płacił za to ogromną cenę. Tym bardziej, że jego nieprzeciętny, wszechstronny talent pisarski, a pewnie także zrozumiałe u pisarza, dla którego podarowany przez matkę i historię język znaczył tak wiele, nie pozwalały mu na bohaterskie outsiderstwo. Przez długie lata pozostawała mu jedynie *nauka języków obcych które wyszły z obiegu / jako śmiała manifestacja absolutnej niezależności*. A to bolało go jeszcze bardziej.

Pierwsza, narzucająca się refleksja podczas lektury *Krzyku Sowy*, a także, w różnym stopniu, tomów wcześniejszych: na tę poezję napiera świat zewnętrzny: historia i dzień dzisiejszy, przeszłość i to, co znajdujemy na wyciągnięcie ręki, a więc fakty, zdarzenia, postaci, sytuacje. Słowem konkret. Rozpoznawalny, wyrazisty. Będący przejawem determinującego nas świata realnego, lecz również wykreowany przez wyobraźnię artysty. Mówiący o współczesności, bliższej i dalszej historii Polski, ale także Węgier („Węgierski syndrom” z tomu *Wir*) i Rosji („Niech bestia zdycha”, wstrząsający poemat o śmierci ostatniego cara imperium i jego rodziny z tomu *Trzy dni nieśmiertelności*). Netza inspiruje - i wywołuje w nim potrzebę dialogu - nie tylko

społeczna empiria, historia i polityka, ale także film, literatura, malarstwo, czyli przekaz zawarty w kulturze. Poza tym kontekstem – mówią jego wiersze i proza – nade wszystko zaś poza pamięcią, jako ludzie, nie istniejemy.

2

Śmierć pisarza otwiera nową perspektywę. Zamknięte dzieło pozwala, co więcej: domaga się całościowego oglądu. W przypadku twórczości Feliksa Netza – poety, powieściopisarza, eseisty, tłumacza, autora słuchowisk radiowych, krytyka literackiego i filmowego, felietonisty i publicysty ma to szczególne znaczenie. Dziś widać wyraźnie, że jest to twórczość – przy jej bogactwie i imponującym zróżnicowaniu gatunkowym – w pewien sposób niezwykle jednorodna, skupiona na kilku węzłowych problemach, do których autor nieustannie powraca. Czyniąc to zresztą w charakterystyczny sposób. To, co w *Związku zgody* (1968) i *Z wilczych dołów* (1973) ma postać tropów o dużym stopniu ogólności, swoistych archetypów, które definiują egzystencję jednostki i wspólnoty w wymiarze uniwersalnym, w wierszach późniejszych, zwłaszcza tych, które złożą się na *Trzy dni nieśmiertelności* (2009) i *Krzyk sowy* (2014) jest poetycką transformacją materii par excellence historycznej – dramatycznych wydarzeń bliższej i dalszej przeszłości.

Przytoczmy pierwszy z brzegu przykład. W tomie *Z wilczych dołów* poeta w wierszu „Sny polskie” napisze:

o władztwo mundurów parzonych w obłoku

naftaliny przelot orłów przez srebrne guziki

wiatr w przestrelonej głowie

hula pomiędzy jedną rocznicą a drugą

by w tym samym wierszu stwierdzić:

sny polskie tym się różnią od snów innych ludów

że nie śpi nawet w zabitym umarły

drży jak karabin

pod czujną stopą zacząjony w ziemi

oczekujący na znak

Uważny czytelnik tych wersów nie miał wątpliwości, że Netz pisze o tragedii katyńskiej, choć słowo to w początkach lat 70. w tekście poetyckim pojawić się nie mogło; było wymazane ze zbiorowej pamięci, skazane na wieczną – wydawało się wówczas – banicję. I dlatego – w wierszu „ogarnia nas smutek” – poeta pisał o smutku na *planecie gdzie nawet wiersz wolny jest więzieniem*. Ale już wówczas tkwił w nim przemożny imperatyw, którego uchylić nie chciał i nie mógł. Mówi o tym wiersz „nie znasz mnie”, który kończy znamienne wyznanie: *zacząłem dziś mówić z sobą bez kłamstw / jak z ostrym błyskiem słońca na szybie / w godzinę śmierci*. I miał do tego prawo. Wynikało ono nie tylko z uwierającej go świadomości, że pisze *ulotne wiersze*, czyli wiersze niedocierające do mięszu, istoty życia, lecz także z deklarowanej w poetyckim języku woli: *jest tylko jedno wyjście chłopcy gdyż / o drugim nie pomyślał dotąd nikt: / z żelaznym listem gończym / skroś łańcuchy i ozdobne obroże / w czarną przyszłość wiersza białego jak do kniei / rozstrzelonego / druku / iść trzeba bo już się sypie pierwsza młodzieńcza / sierść*. Jak można i należy rozumieć te słowa? Na tak postawione pytanie, odpowiada sam autor *Wilczych dołów* w cytowanym już wierszu „nie znasz mnie”:

nie znasz mnie; nic nie wiem o tobie

kraj niskich gór i paru jezior jest naszym

polem martwym

mowa która nas karmi tylko języczkiem

uwagi; nie zbliża nas

mijamy się w trwodze jak ogień i dom

Te słowa mówią dobitnie, że poeta miał świadomość redukujących sferę jego wolności ograniczeń. Ale nie tylko tego, także tkwiącej w nim niezgody na istniejący stan rzeczy, potencjalnego buntu, któremu wcześniej czy później będzie musiał dać wyraz. Wspominając po latach okoliczności powstawania powieści *Urodzony w święto zmarłych*, w rozmowie z Marianem Sworzeniem zatytułowanej „Zbójcka iskra” (zamieszczonej w tomie *Ćwiczenia z wygnania*) powie:

To Miasteczko [Lubań - E.Z.] wprowadzałem kilkakrotnie do moich książek, wcześniej były to jednak gesty sentymentalne, to, co najważniejsze, było 'nie do ugryzienia' w PRL-u. Urodzonego w święto zmarłych zacząłem pisać w połowie lat siedemdziesiątych, nie myśląc o wydaniu książkowym. Nie jestem pewien, czy zamierzałem rzecz zakończyć, w każdym razie nie pamiętam żadnego 'ciążenia ku końcowi'. Po prostu pisałem. To pisanie było dla mnie czymś w rodzaju rytualnej kąpieli, wiedziałem, że sam nie jestem bez grzechu, że i do mnie tamten peerelowski brud się przylepił. Byłem dziennikarzem, pracowałem do połowy lat sześćdziesiątych w katowickim radiu, w śląskim tygodniku „Panorama”, i jeśli nawet pisząc teksty dziennikarskie ważyłem każde słowo, jeśli nawet wyznaczałem sobie granicę, której nie wolno mi było przekroczyć, a tę granicę wyznaczałem w sobie, we własnym sumieniu, i jeśli moi koledzy kilka razy byli świadkami, jak, ryzykując tak zwaną karierę, powiedziałem 'nie', to przecież zdawałem sobie sprawę, że choćbym nawet zachowywał się przyzwoicie, fakt pozostaje faktem: pracuję w koncernie pezetpeerowskim. Nie uważałem, że służę złu, ale wiedziałem, że nie tak miało wyglądać moje życie. Byłem człowiekiem obolałym.

To ważne wyznanie w ustach pisarza, który jako człowiek stanął przed jednym z najbardziej dramatycznych wyborów: wyborem narodowej tożsamości. Pochodząc z polsko-niemieckiej rodziny, podjął decyzję o przynależności do kultury polskiej, kultury matki, która w decydującym momencie wybrała nie Niemcy, kraj rodzinny męża, lecz Polskę. Mógłby ktoś powiedzieć, że o wyborze Netza-dziecka zadecydowały czynniki od niego niezależne: czas i matka. I rozwijając nasze rozważania, byłibyśmy uprawnieni do zadania kolejnego pytania: czy gdyby w tamtym momencie był starszy i bardziej samodzielny, gdyby, inaczej mówiąc, mógł

decydować o swoim przyszłym losie, stanąłby po stronie matki, czy ojca? Kwestię tę rozstrzyga równie artystycznie znakomity, co przejmujący wiersz „Ojciec”:

*lubił czytać Kancjonał w staroniemieckim
przekładzie, po polsku nie przeczytał ani
jednej książki, gramatykę polską uważał
za diabelskie sztuczki, polską ortografię
znieważał każdym zdaniem napisanym
po polsku, nie szczędził mi nauk w rodzaju:*

*Schechte Kammeraden flieh, wie die
Pest so schaden sie (uniósł lewą brew,
słyszac mój przekład ad hoc: z wrednymi
koleżkami nie kumaj się, bo zaszkodzą
ci jak dzuma), liczył po niemiecku*

To jeden z wielu przykładów potwierdzających, że Netz, jako człowiek i pisarz, zbliżał się do polskości „od zawsze”, z wewnętrzną determinacją, wytrwałością i uporem. I co najważniejsze: z pełną świadomością dokonywanego wyboru. I właśnie ta potęgująca się z wiekiem świadomość, że przy nieco innym obrocie rodzinnego losu mógł zostać Niemcem sprawiała, że polskość była dla niego szczególnym wyzwaniem życiowym. W wywiadzie, którego udzielił Wojciechowi Kassowi (*Coś nam nie wyszło, coś się nie udało*, „Topos” 2014, nr 5) powie o tym tak: „Musiałem w sobie, w swoim ciele, w swojej duszy zbudować Polskę jak katedrę. Czy musiałem? Chciałem. Takie postawiłem zadanie sobie, całemu mojemu życiu”. Tym bardziej bolało go to, co otrzymywał w zamian – ideologizację życia publicznego,

nieautentyczność słów i gestów, podwójną moralność, tę manifestowaną na zewnątrz i tę stanowiącą jej zaprzeczenie, którą ujawnić mógł jedynie wśród najbliższych, a w skrajnych przypadkach - wyłącznie przed samym sobą. Wiązała się z tym konieczność stosowania zasady mimikry, przywdziewania cudzej skóry, życia na co dzień w poczuciu zakłamania i fałszu.

Dramatyczny, dotkliwy rozdział między tym, co autentyczne i tym, co zmyślane oraz związany z tym głód prawdy, wartości nie tyle poddanej najbardziej drastycznej reglamentacji, co cynicznie wyrugowanej z przestrzeni publicznej przez pokraczny slogan musiały prowadzić do sytuacji granicznych. Po nocy z 12 na 13 grudnia 1981 (zwłaszcza zaś po tragicznej śmierci górników kopalni „Wujek”, do której powrócę za chwilę) podmiot tej poezji, żyjący w kraju, w którym *W końcu i śnieg utracił dziecięcą niewinność / gdy z chrzęstem przeszło po nim czarne ptactwo*, nie mógł zatrzymać się w pół drogi. Sugestywny przekaz w tej mierze przynosi wiersz „Przepaść” z wydanego w 1985 roku tomu *Wir*:

chciałem ułożyć się z wierszem

po między okładkami nieba i ziemi

z dala od imperiów

z palcem bożym na zaciśniętych ustach

a runął

w przepaść tej kartki

na kamienne dno jej sumienia.

Poezja Netza nie mogła już dłużej milczeć (choć nigdy nie była niema), salwować się ucieczką w bezpieczne rewiry wyobraźni, musiała opuścić *katedrę kłamstwa*, którą zwiedzał jej bohater *oklaskując jego [kłamstwa] precyzję i chłód*. Przyszedł bowiem moment, w którym skończyło się *życie na niby*. W wierszu „Wilki” z tego samego

tomu poeta sygnalizuje ową konieczność jeszcze dobitniej:

Suchą stopa przeszedłem przez morze atramentu

aby utonąć

w kropli krwi.

Nie ma odwrotu:

oko za oko,

krew za wiersz.

3

Po wieloletnim flircie z Muzą (polegającym na mnożeniu *ulotnych wierszy*, ale także prozy w rodzaju konkursowej powieści *Biała gorączka*) poeta uświadomił sobie potrzebę, więcej: konieczność weryfikacji własnej postawy (*Słowa, które chciałbyś odwołać*), bo *nadeszła stosowna, czyli najwyższa pora / korekty życiorysu; / nie dla szczęśliwych układów / na obrotowej scenie zdarzeń, ale / w bezwzględnej samotności, / w godzinie wilków / na krótko przed otwarciem więziennej bramy dnia / kiedy wyostrza się wewnętrzny słuch, / a jasnovidzenie jest po prostu jasnym widzeniem (...)*. Owym granicznym momentem, który przemienił Netza-Gustawa w Netza-Konrada była wspomniana śmierć dziewięciu górników kopalni „Wujek”. Przebudzenie, jak mówi Netz w tytule jednego z wierszy, nastąpiło w połowie lat osiemdziesiątych. To wówczas, gdy w wierszu pisanym *do siebie* ich śmierć podniósł z ziemi jak kromkę chleba zrozumiał, że

wiersz to jest klucz

od sumienia

wyrzucony ukradkiem

przez zakratowane okno

Ale widzieć i rozumieć, nie znaczy jeszcze uzyskać wewnętrzne uspokojenie. „Odwołanie” niektórych słów w gruncie rzeczy o niczym nie rozstrzyga. Sens cytowanego wcześniej wiersza („Okresowy przegląd”) nie wyczerpuje się na zasygnalizowanym imperatywie moralnym. Otóż okazuje się, że jego spełnienie niczego nie jest w stanie zmienić. Mówi o tym zamykający dwuwiers: *Ale to już bez znaczenia, / bo i tak nigdy nie zaznasz spokoju*. Kto jest adresatem tych słów i kto konkretnie nie zazna spokoju? Wspomniany podmiot liryczny? Feliks Netz? A może współczesna poezja (literatura) polska? Myślę, że prawdziwe są wszystkie trzy odpowiedzi. Bo wydany w 1985 roku *Wir* jest rozrachunkiem z fałszywą świadomością, z idiomem nie tylko peerelowskiej rzeczywistości, także tej późniejszej, oddychającej (zdawałoby się) pełną piersią, bo i w tej dawnej, i tej obecnej słowa poety utraciły - z różnych powodów - swoje znaczenie. Kiedyś były zbyt ważne i niebezpieczne, więc poeci uciekali w język ezopowy, dziś błakają się po peryferiach współczesności, są obiektem zainteresowania wyłącznie kolekcjonerów słownych błyskotek, czyli zabawnych, pozbawionych praktycznego zmysłu poetów.

Zresztą nie tylko o poetów tu chodzi. Współczesność wypiera autentyk i oryginał, żywi się falsyfikatem, najważniejsze dla człowieka wybory moralne zastępuje taktyką, sfera wartości ustępuje przed gadżetem, rzeczą, rzeczywiste wyzwanie egzystencjalne - krótkotrwałym sukcesem, lub wręcz jego namiastką. W takim świecie nie mówi się prawdy. Nikt jej nie oczekuje. Jest kłopotliwa, niewygodna, zbędna. Także historia. Podobnie jak tradycja, wielowiekowe budowanie narodowej wspólnoty, z jej blaskami i cieniami, ze słodyczą sukcesów i goryczą klęsk.

Jak stwierdziliśmy na wstępie tych rozważań, w poezji Netza nie ma na to zgody. W przywołanym wcześniej wywiadzie na pytanie Wojciecha Kassa, czy ma świadomość, że pisze o „historii”, poeta odpowiada: „Broń Boże! To historia, czyli jakieś ciężkie granitowe bloki zdarzeń, spadają na mnie, czyli w moją prozę, w moje wiersze”. I tak jest w istocie. Jego wiersze wypełnia tłum bohaterów rzeczywistych i fikcyjnych, utrwalonych na kartach dzieł literackich, w dramatach i filmach. Z jednej strony Hitler, Stalin, Gomułka i Nagy, Petőfi, Szekspir i Norwid, Czechow, Błok i Conrad, Czesław Miłosz i Sándor Márai, Kawafis i Herbert, Lisa Minelli, Zbigniew Cybulski i Ken Russel, Smoktunowski, Olivier, Tarkowski, Brook, Wajda i Kinski, Marek Hłasko,

Zbigniew Cybulski, Tamara Wiszniewska, Edward Hopper, Jan Palach i niewymienionych z nazwiska dziewięciu górników kopalni „Wujek”, zamordowanych w okresie stanu wojennego, koleżanki z klasy poety Marysia Buczek i Franciszka Karczmar, a obok nich, na tych samych prawach, Hamlet, Hiob, Akakij Akakijewicz i Iwan Denisowicz, bohaterowie powieści Molnara *Chłopcy z Placu Broni* – Nemecek, Boka, Feri i Barabas. To przykłady (nie wszystkie) z wydanego w 2009 roku tomu *Trzy dni nieśmiertelności*.

Tom ostatni listę tę wzbogaca i wydłuża. Pojawiają się na niej postaci rzeczywiste – Chodasiewicz, Broniewski i „cały Skamander”, Ingmar Bergman, Federico Fellini i Claudia Cardinale, Chrystus, Hrabina Sireń Dmitriewna Lebiediew, doktor Frnaz Krau i Luba Orłowa, rówieśnicy poety Zbyszek Żołądek, Włodek Popik i Ewa Panufnik, Anna Achmatowa, Racine, fotograf Max Rabe, Ulrika Meinhof i Adolf Hitler, Eugeniusz Bodo, Dołęga-Mostowicz i Elżbieta Szemplińska, poeta, gdy był kilkunastoletnim chłopcem i jego cioteczna babka, z którą w 1956 roku dotarł do Katowic (wówczas Stalinogrodu) z dalekiego Lubania, Gustaw Holoubek wcielający się w postać Fantazego na deskach Teatru Śląskiego, siostra Karina z katowickiego szpitala, kawiarnia „Kryształowa” i ulice 1 i 3 Maja, kino „Młoda Gwardia” i Dom Książki Radzieckiej, mord katyński 1940 roku i tragedia pod Smoleńskiem w 2010 – dramatyczny oddech współczesności. Równie tłoczno od postaci fikcyjnych, ale nie mniej „rzeczywistych”, bo trwale wpisanych w polskie doświadczenia, często dramatyczne, bolesne, beznadziejne. Ano właśnie, zadajmy sobie, za poetą, to ważne pytanie. Czy rzeczywiście beznadziejne, a więc bezsensowne, poronione, stanowiące konsekwencję nieracjonalnych postaw wobec życia i historii?

Poezja Netza tego fundamentalnego problemu nie rozstrzyga, jakby wiedząc, że na jawiające się tu pytania nie ma sensownej, możliwej do przyjęcia przez wszystkich odpowiedzi. Odpowiedzi tej musi udzielić sobie każdy indywidualnie, zgodnie z własnym sumieniem, wrażliwością, systemem elementarnych odczuć, przekonań i wyobrażeń. Wie natomiast, że nie może wobec naporu rzeczywistości, stojąc wobec jej natrętnej ingerencji w życie każdego z nas, teraz i w przeszłości, milczeć. Musi mówić, dobitnie i równocześnie z troską o artystyczną precyzję, by odnaleźć swoje miejsce w świecie. By być sobą. Nie bez powodu jednym z mott, którymi poeta opatrzył *Krzyk sowy* jest wypis z Wilhelma Diltheya: *Tylko historia może powiedzieć człowiekowi, kim jest*. Dlatego poezja nie może jej nie zauważać, ma wręcz

obowiązek uczestnictwa. Tym bardziej, że *Człowiek dowiaduje się o końcu pewnej epoki, / pieląc grządki albo kupując ciepły sweter* („11.09.2001”). Wedle Miłosza koniec świata nastąpi, gdy z pozoru wszystko będzie normalne. Jak w zakończeniu „Piosenki o końcu świata” mówi siwy staruszek, który mógłby być prorokiem, ale nim nie jest, bo ma inne zajęcie, innego końca świata nie będzie. Netz, jakby w dialogu z Noblistą, ujmie to w ten sposób: *Ludzie mówili, że będzie koniec świata. / I jest. Tylko nie rzuca się w oczy* („Z księgi spełnionych wróżb”).

Czytając te świetne poetycko, żarliwe, istotne intelektualnie wiersze nie potrafimy wyzbyć się natrętnej myśli, że Netz „wymierzając sprawiedliwość widzialnemu światu”, prowadzi dialog przede wszystkim sam z sobą. Sięgamy po raz kolejny po znakomity tom esejów *Ćwiczenia z wygnania* i w odczuciu tym upewniamy się, a raczej utwierdza nas w nim autor. W niezwykle ważnym dla zrozumienia postawy poety, przywołanym już wcześniej erudycyjnym eseju „Stary człowiek z San Diego” znajdujemy jego znamienne wyznanie. Przybliżając nam swoją fascynację twórczością węgierskiego emigranta, napisze: „Zastanawiam się, dlaczego bez wahania „poszedłem” za Sándorem Máraiem? Może dlatego, że odczuwałem wokół siebie, w kraju, także w samym sobie, deficyt niezłomności”. Przypomnijmy, że poeta pisze o roku 1985, a więc roku, w którym wyszedł jego tom wierszy *Wir*, tom w pewnym sensie graniczny. Od chwili jego wydania Netz już nie tworzy tekstów *ulotnych*, a jego poezja jest ważkim artystycznie przykładem (użyjmy celnego sformułowania Przemysława Dakowicza) „umiejętności przekładania głębokiej refleksji historiozoficznej na język wiersza”.

4

Niechaj to, co napisałem powyżej będzie zaledwie introdukcją, długim wstępem do dalszych rozważań o *Krzyku sowy*, tomu w zamkniętym dorobku Feliksa Netza pod każdym względem wyjątkowym. Zaczniemy od wiersza tytułowego. Zawarte w nim (już w tytule właśnie) odwołanie do szekspirowskiego dramatu jest tylko ekspozycją tego, co nastąpi później w trakcie narracji wiersza. Mówi ona o – chciałoby się powiedzieć – bestialskim, lecz trzeba to nazwać słowem właściwym, a więc: ludzkim katowaniu sowy, która była świadkiem potwornego mordu. Poeta odsyła nas do zbrodniczego czynu Makbeta, ale równocześnie sygnalizuje, że przyświeca mu cel inny, jak najbardziej współczesny. „—wyłamano mi skrzydła i wykluto oczy” brzmi

pierwszy wers i już wiemy, że nie o Duncana tu chodzi, a jedynie (aż) o szekspirowską scenerię, która pozwala wydobyć grozę i mechanizm ponadczasowej zbrodni rodzaju ludzkiego. Sowa była niepożądanym dla Makbeta świadkiem. Tutaj pełni tę funkcję również, co jest wystarczającym powodem, by ją unicestwić. Przed śmiercią oprawca musi wszakże wydobyć z niej to wszystko, co wie, i czego nie wie. Czyli sowa musi przyznać się do win niepopołnionych, do których według oprawcy przyznać się winna. Bo winą jej jest samo istnienie w określonym miejscu i czasie. Czy coś nam to przypomina? Oczywiście. Jesteśmy w epicentrum współczesnej historii Polski. I chodzi tu nie tylko o tragiczne następstwa niemiecko-sowieckiej inwazji 1939 roku, Katyń (*kiedy znów usłyszycie mój krzyk, nie wiem / nie wiem, nie wiem, może wtedy, gdy Las Smoleński podejdzie / pod mury Kremla* —), Łubiankę i kazamaty Urzędu Bezpieczeństwa, opłacony ofiarami heroizm lat następnych, lecz także o przekłętę fatum wiszące nad nami po dzień dzisiejszy.

Gdy kazałeś strzelać do swego narodu

pochowają cię z honorami na koszt państwa

Jeżeli zdradziłeś swój naród w zamian

za awanse i życie we względnym luksusie

pożegna cię zamiast plutonu egzekucyjnego

salwa kompanii honorowej

jeżeli całowałeś w usta tyrana i kata będziesz

spoczywał w chwale w alei zasłużonych

jeżeli pozwalałeś jawnie i skrycie mordować

księży, kapelan odprawi mszę za twoją duszę

jeżeli donosiłeś na swoich współbraci, zawsze

znajda się tacy, którzy nazwą cię chlubą ojczyzny

Tytułowe „Ćwiczenia aksjologiczne” są bolesnym doświadczeniem już nie naszych poprzedników, lecz nas samych, spożywających owoce trudnej i niebezpiecznej wolności. Tej wolności, w której prawda przebywa na permanentnym urlopie czy raczej wygnaniu. W której zrelatywizować, wyszydzić i ośmieszyć można wszystko. W poezji Netza nie ma na to zgody.

Tej zgody, mówią wiersze nie tylko *Krzyku sowy*, być nie może, jeżeli chcemy pozostać nie figurą medialną, lecz sobą.

Od momentu wydania tomu *Wir* (1985) do ukazania się *Trzech dni nieśmiertelności* (2009) upłynęło 25 lat. Ironizując, można powiedzieć, że Muza obraziła się na Netza. Prawda wydaje się być jednak daleko bardziej skomplikowana. Ta długa przerwa świadczy, sądzę, przede wszystkim o tym, jak bardzo Feliks Netz ważył słowo. Jak wielką przywiązywał wagę do swej poetyckiej misji. Skoro nie mogę, nie potrafię i nie chcę pisać *wierszy ulotnych*, staram się odtworzyć myślenie poety, muszę „odpowiednie dać rzeczy słowo”. Inaczej mówiąc, muszę odnaleźć swój własny wiersz, który pozwoli mi wypowiedzieć to, co wypowiedzieć pragnę. I w takim kształcie, który będzie, nie tylko dla mnie, ważny i znaczący. Tom *Wir* otwiera wiersz „Wilki”, w którym poeta wyjaśnia motyw swego wieloletniego milczenia:

Latami nie pisałem wierszy.

To nie to, mówiłem, to nie to.

Bo czyż warto

rzeźbić w powietrzu,

budować z wiatru,

orać chmurę?

Nie. To nie to.

Poezja Netza, gęsta od nieskrywanych emocji, ale nie histeryczna, jest nie tylko świadectwem *tutejszego istnienia*. Jest także apelem i ostrzeżeniem. Tak należy odbierać wiele wymienionych wierszy, zwłaszcza zaś „Barbarzyńców” – z tomu *Trzy dni nieśmiertelności* i „Barbarzyńców (2)” – z *Krzyku sowy*. O ile pierwszy z nich był sugestywną wizją przemocy, której sprawcami są niedookreśleni najeźdźcy, o tyle drugi mówi o barbarzyńcach, którzy znajdują się obok, na wyciągnięcie ręki. Przytoczmy jego odpowiedni fragment:

*To nie muszą być obcy ze wschodu, czy z zachodu,
południa, czy z północy, w pikielhaubach z żelaza
lub w szmacianych z czerwoną gwiazdą, nie muszą
obywać się bez samogłosek, ani przypinać byczych
rogów do czoła
nie muszą przyjść prosto ze stepów, gdzie myszy
polne zdychają z głodu, ani z zasobnych w zwierzynę,
miód leśny i poziomkowe polany borów szwarcwaldzkich,
ani z wiecznie kaszlących fiordów, ani ze zgiełkowej,
zadymionej piwiarni;*

*to mogą być swoi, z drugiej strony ulicy, a nawet
z twojej klatki schodowej, żona barbarzyńcy nie raz*

*pożyczyła u twojej żony łyżkę soli, a sam barbarzyńca
raz nawet grzecznie zapytał: „Przepraszam, czy u państwa
też wysiadło światło?*

(...)

*to wcale nie muszą być obcy, swój też potrafi strzelić
w tył głowy, wykopnąć spod twoich nóg pieniądze, skrzynkę
lub stołek i śmiać się, wciąż słysząc twoje ostatnie słowa:
„Niech cię piekło pochłonie”, bo dobrze wie, że piekła
innego niż to, nie ma;*

Znajdujemy się w ciemnym jądrze współczesności. A to znaczy, że nie unikniemy pytań w rodzaju: co uczyniliśmy z tak trudno odzyskaną wolnością? Jak spożytkowaliśmy jej wysniony w snach wielu pokoleń dar? Kim jesteśmy dzisiaj, obywatele małego kraju w północnej części Europy? Jest w dwu ostatnich tomach Netza wiele innych sygnałów, które świadczą o tym, że rzeczywistość nie sprostała rozbudzonym nadziejom, że ideał w sposób jaskrawy rozminął się z jego praktyczną realizacją. Stąd płynie gorzcyz przejmującego wiersza „Coś nie tak moja słodka ojczyzna” z tomu *Trzy dni nieśmiertelności*, którego podmiotem jest... naród polski:

Nie liczyłem na cud.

Ja chciałem tylko moja kochana, o tej

*szarej godzinie między psem, a wilkiem,
kiedy ranne śpiewają zorze, kiedy wstaje żywioł
wszelki, pocałować cię w usta moja kochana
i wyjść na miasto; na jego dzikie pola,
chciałem zdjąć w pierwszym dniu wolności,
grymas wzgardy, cierpienia i drwiny z twojej
twarzy. Z twarzy Marka Hłaski. Znasz to
jego zdjęcie z niedopałkiem w zaciśniętych
wargach: to jest fotografia miłości ojczyzny;
Chciałem mówić z tobą tak szczerze, jak
rozmawia się ze źdźbłem trawy i z wiatrem,
z kurzem i z deszczem, z sarną i panterą, z bratem
(słońce) i siostrą (księżyc), chciałem tańczyć
Przed Ojcem Świętym i kardynałem jak tamten
wariat z Asyżu;
Tyle chciałem, moja wolna ojczyzno, nic więcej.*

5

Mówiliśmy dotąd o tym, że poezja Netza stanowi przekonujące artystycznie świadectwo *tutejszego istnienia*, lub, określając to inaczej, wysokiej próby transformację węzłowych zagadnień współczesności i historii na język wiersza. Ale to tylko część prawdy. Netz bowiem w swych poetyckich narracjach nigdy nie jest

piewczą wyłącznie decydującej o życiu człowieka historii, co więcej, nie jest nim także wówczas, gdy o tragicznych zawirowaniach owej historii pisze. Obiektem najważniejszym jego każdego „narracyjnego” wiersza jest dramat jednostki, niezwykle sugestywny i poetycko pełny, w swej konstrukcji oryginalny. To poprzez jej doznania, rzeczywiste czy potencjalnie możliwe, Netza mówi o świecie, o jego drapieżności, małości i podłości. Ale mówi także o miłości. Gdyby autor *Trzech dni nieśmiertelności* nie napisał nic więcej, prócz kilku wierszy lirycznych, takich na przykład jak „Moja matka umiera”, czy „Czarne i białe”, przepiękny, wstrząsający liryk o nieogarnionym bólu czarnoskórego ojca po śmierci ukochanej córeczki, albo tych najbardziej osobistych, szpitalnych („Nocna cisza obowiązuje od 22.00”, „Tu leży ten pan”, „O północy”) zapewniłyby sobie miejsce na szczytach polskiej poezji współczesnej). Są w tych wierszach miejsca, które mówią o poetyckim geniuszu Netza, jego niezwyklej wrażliwości i kongenialnym smaku. To one podyktowały mu zakończenie wiersza, którego nie sposób zapomnieć. Podmiot liryczny, który obejrzał wcześniej pokazane mu przez współtowarzysza pracy zdjęcie córki, najniespodziewaniej dowiaduje się od ojca, że mała nie żyje.

jeszcze raz spojrzałem na fotografię

dziewczynka miała zaciśnięte ciemnoniebieskie

wargi, jej oczy patrzyły na mnie

z nieprzeniknioną powagą

falowało nagrzane powietrze, na białej

i czarnej skórze spływał pot, słysząc

było powolny obrót ziemi, skrzypienie

osi świata.

Ale wróćmy do wcześniejszego wątku. Stwierdziliśmy, że poezja Netza mówi o

człowieku i jego zwiłkanej historii, o tworzonych przez niego systemach zniewolenia i przemocy. I o tym, że rozpoznawalną dykcją tej poezji jest jej niezwykła siła sugestii. Czytając znakomitego, poruszającego „Chodasiewicza” – który otwiera *Krzyk sowy* – mamy wrażenie, wręcz pewność, że to my nim jesteśmy. Że to nasz los ewokuje wiersz, że to my podczas ucieczki z Rosji bolszewickiej wybraliśmy nie Zachód, lecz Polskę i że doświadczamy tragicznych konsekwencji tego wyboru. Że to my wreszcie miewamy takie koszmarne sny *śpiąc w arcy- / niewygodnej pozycji na wznak teraz i przez najbliższe / tysiąclecie we własnym, nie masowym grobie*.

Kontynuując ten tok myśli, spróbujmy odpowiedzieć na proste pytanie: dlaczego „Chodasiewicz” jest wierszem wybitnym? Z pewnością nie dlatego, że zgrabnie opowiada coś, co jest nam dobrze znane i co stanowi trwały element naszej zbiorowej pamięci. Byłaby to, zgoda, że udana, lecz tylko ilustracja. W przypadku „Chodasiewicza” mamy do czynienia z czymś nieporównanie głębszym. To nie opowieść (choć wiersz jest przejmującą narracją), to egzystencjalny, chciałoby się powiedzieć: szekspirowski dramat. To eksplozja niezwykłej precyzji języka i sugestywnej, oryginalnej wyobraźni, która nas wciąga, obejmuje w zaborczym uścisku i każe widzieć i czuć to, co widzi i czuje bohater wiersza. To ona sprawia, że bohaterem mógłby być każdy z nas. A jeśli uzupełnimy tę niepełną enumerację poetyckich walorów najczystszy, dalekim od sentymentalizmu liryzmem, imponującą potencją kreacyjną każdego użytego przez poetę słowa – uzyskamy odpowiedź na otwierające ten akapit pytanie.

Podobne wrażenie towarzyszy nam podczas lektury innych wierszy tomu, na przykład „Śmierci w Kutach”. To nie do Dołęgi-Mostowicza strzela sowiecki żołdat, lecz do nas, i to my giniemy na przedprożu upragnionej wolności, nie dobiegnąwszy do mostu na Czeremoszu. To my a nie Eugeniusz Bodo, zaprzeczając sobie, śpiewamy sowiecką wersję znanej piosenki „Tylko we Lwowie”, co zresztą w najmniejszym stopniu nie zmienia naszego/jego parszywego losu. To my leżymy *pokotem w błocie, we krwi / w papierowych workach, z krzyżykami / wyciętymi majchrem na zimnych czołach* („Śniła mi się Polska”). I to my, a nie bohater Andrzejewskiego-Wajdy zapalamy spirytus w kieliszkach, by uczcić w ten sposób męczeńską śmierć bohaterskiego pokolenia, zmiażdżonego w bezwzględnych, cynicznych trybach historii. To wreszcie w żyłach naszego ojca (a nie ojca autora) *płynęła krew / starej Germanii, krew gęsta jak wody / Renu uderzającej z furią o skałę, na której / siedzi*

die schönste Jungfrau, Lorelei.

Przykłady można mnożyć. Przekonują one ponad wszelką wątpliwość, że Netz „nami pisze”, że każdy jego obraz wyrwany jest z naszego wnętrza, że sami przed sobą stawiamy lustra, w których oglądamy i przeżywamy nasz tragiczny los.

„Pisze nami” także w przejmujących wierszach „autobiograficznych”. Biorę ten przymiotnik w cudzysłów, bo traktują one nie tylko o skomplikowanych dziejach rodzinnych i związanych z nimi wyborach poety. Wiersze „Initium Silesiae”, „Ulica kopalniana”, „Stalinogród, ulica 1 Maja”, „Stalinogród, ulica 3 Maja, czyli całe tysiąclecie”, „Niewłączone do Księgi Psalmów” czy „Chłopiec idzie do szkoły” są w równym stopniu wierszami o poecie, jak i o nas, o naszej wielkości i małości, o naszym heroizmie i moralnym upadku, o gryzącym nas sumieniu i potrzebie samooczyszczenia. Używając tytułu innego wiersza, powiedzieć możemy, że jest to nasza wspólna Droga Krzyżowa. Trzeba wielkiej odwagi moralnej i determinacji, by w świecie ponowoczesnej płynności napisać takie wiersze. A raczej: wyrwać je z siebie, z własnego wnętrza. Skąd ów imperatyw? W pewnej, może nawet znacznej mierze, choć nie tylko, wynika on zapewne z narastającej w każdym z nas świadomości, że – jakby powiedział Czesław Miłosz – oddalamy się powoli od jarmarku świata. Że w naszym życiu poczynają dominować (choć powinny zawsze) inne cele i miary. Pisze Netz w zakończeniu wiersza „Dwie śmierci”:

*w hollu mojego domu, tam gdzie zwykle
wieszam kurtkę i wełnianą czapkę, wiszą
dwie kosy, czasem słyszę jak w nocy jedno
ostrze lekko uderza o drugie,
jakby mówiły: śpij spokojnie,
jesteśmy,
czuwamy.*

Wtedy już naprawdę nie mamy wyboru. Poza godnością i prawdą nic się nie liczy. I o tym mówi ta niezwykła poezja, zdająca sprawę z *tutejszego istnienia*. Tutejszego, czyli usytuowanego na Górnym Śląsku, w Polsce i w Europie. A określając rzecz precyzyjniej: na tym najlepszym ze światów.

Mississauga, 2016

Pierwodruk: „Migotania-Gazeta Literacka” nr 1(50), 2016



Od lewej: Tadeusz Kijonka, Kazimierz Kutz. Feliks Netz, z tyłu: Florian Śmieja i Stanisław Nicieja, fot. archiwum F. Śmiei.

W wierszach myślę obrazami

Irena Wyczółkowska, poetka, urodziła się 9 lutego 1941 roku w Warszawie, zmarła 3 maja 2015 roku w Opolu. Ukończyła filologię polską, pracowała w

wydawnictwie Uniwersytetu Opolskiego. Współpracowała z radiem Opole. Debiutowała w 1958 roku w „Odrze”. Wydała tomiki poetyckie: „Skóra węża” (1990), „Ptaszysko” (1991), „Balkon bez poręczy” (1993), „Gwar utajony” (1996), „Smocza samotność” (1997). Została wyróżniona Wojewódzką Nagrodą Artystyczną (1992) oraz Nagrodą Artystyczną im. M. Jodłowskiego (1993). Była członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.



Irena Wyczółkowska, fot. Agencja Gazeta.

Tak, i ja należę do dalekich potomków wybitnego malarza. Niestety, nie potrafię z całą precyzyjną dokładnością określić rodzaju pokrewieństwa. Z moich dociekań może wynikać, że Zdzisław Wyczółkowski, ojciec mego ojca (Andrzeja Jana) był bratem stryjecznym Leona. Ten sam herb - Ślepowron, te same okolice rodzinne. O

ile wiem, Leon Wyczółkowski, który nie miał rodzeństwa (cała czwórka zmarła w dzieciństwie), posiadał liczne kuzynostwo i łączyła je z nim do końca życia serdeczna więź. Moi rodzice mieszkali w Warszawie, tam także, w 1935 roku wzięli ślub. Mama wspominała z żalem, że ojciec bardzo chciał ją przedstawić podziwianemu krewnemu, jednak z powodów, których nie pamiętała, odkładali termin tej ważnej wizyty - i los ją udaremnił: artysta zmarł kilka miesięcy później, w 1936 roku. W domu cioci Haliny (po mężu Kuleszowej) - siostry ojca - widziałam niewielki rysunek Leona Wyczółkowskiego z jego dedykacją. Był to widok małej altanki w ogrodzie. Cudem udało się cioci ocalić tę cenną pamiątkę z wojennej pożogi.

Mój ojciec, żołnierz AK, zginął w sierpniu 1944 roku w Powstaniu. Mamie przypadł los tysięcy warszawiaków - obóz w Pruszkowie, wywóz do Kielc, po wyzwoleniu powrót do spalonej Warszawy. W 1945 roku wraz z siostrą podjęła nie lada decyzję - do końca życia zastanawiała się, czy było to słuszne: wyjechała na tzw. Ziemie Odzyskane, do Otmuchowa koło Nysy. Potem przeniosła się do Opola. Kontakt z rodzeństwem ojca bardzo się rozluźnił. Wszyscy oni, poza wspomnianą ciocią Haliną, zmarli przedwcześnie, w latach 50. i 60. Dodam jeszcze, że wówczas podróże były bardzo uciążliwe i odległość między Opolem a Warszawą była naprawdę większa niż obecnie! Dlatego o rodzinie ojca wiem niezbyt wiele, jedynie to, co usłyszałam od mamy, żyjącej niełatwą terażniejszością i wyraźnie o wiele bardziej związanej ze swoimi krewnymi (Koralewskimi).

Mama szczególnie lubiła grafiki Wyczółkowskiego, zwłaszcza litografie przedstawiające drzewa. Reprodukcje tych dzieł wisiały na ścianach naszego mieszkania. Ilekroć odtwarzam w pamięci dom mojego dzieciństwa - widzę i te drzewa. Tak, są piękne, ale bardziej cenię malarstwo: co za niezwykła, przebogata różnorodność! Jakiś czas temu byłam w Krakowie na wielkiej wystawie twórczości tego malarza. Odkrywałam tam na nowo obrazy, które do tej pory, nie wiedzieć dlaczego, przyjmowałam dość chłodno. Jakże prześliczny jest obraz „Ujrzałem raz”, co za umiejętność uchwycenia, z całą naturalnością, nastroju, emocji. Czas - ten Kronos pożerający własne dzieci - patrząc na obraz utrwalający ulotne chwile, pewnie ze złością zgrzyta zębami...I jeszcze jeden obraz, o ile wiem, przez krytykę wcale nie zaliczany do najświetniejszych dokonań artysty. Obraz chyba ostatni: „Wiosna. Wnętrze pracowni”. Według oficjalnej wykładni najważniejszy jest tu odsunięty fotel - symbol nieobecności. A dla mnie to EPIFANIA: Półmrok - i otwarcie

okna, uniesiona, fruująca firanka, nagła jasność kwitnącego drzewa. Olśnienie – jak w wierszach haiku.

Niestety, w przeciwieństwie do szczęśliwców Pana Leszka i jego ojca Witolda Wyczółkowskich nie odziedziczyłam ani krzty talentu plastycznego! Ale malarstwo jest mi ogromnie bliskie. W wielu wierszach próbowałam nawet „przełożyć” kształt i kolor na słowa. I bardzo mnie kiedyś ucieszył osąd znanego krytyka literackiego, który stwierdził, że w swych wierszach „myślę obrazami”.

Joanna Sokołowska-Gwizdka (oprac.)



Szkic Leona Wyczółkowskiego, źródło: www.wyczolkowski.pl

Irena Wyczółkowska

Dobry Łotr

(próba opisu XIV-wiecznego fresku z Miechocina)

Jeszcze zdąży zobaczyć, jak dusza opuszcza jego ciało.

To energiczna Osoba, jedynie przez chwilę

będzie ją miał na ramieniu, trochę się niepokoi,

bo rozpoczęła wędrówkę lewą nogą,

to przynosi pecha - jak dobrze pomyśleć,

że tylko na tym świecie!

Prawa noga duszy tkwi jeszcze w otwartych ustach Łotra,

jest ciemna, może to skaza fresku, a może nauka,

że póki dusza zanurzona w bolesnej krwi - nie może być czysta?

Mógłby ją zatrzymać, och, przygryźć choć na chwilę,

nie zrobi tego, patrzy na nią z dumą - jak ojciec,

który żył jak żył, lecz dziecku nie dał zginąć,

patrzy z dumą, bo udała mu się ta dusza, ma długie ręce,

dłonie podobne wiosłom, łatwo jej będzie rozumieć obłoki,

tak, ona sobie poradzi w dorosłym Życiu!

Pejzaż z pawilonem

(chiński rysunek z XIV wieku)

Góra? Raczej wzgórze

parę kresek jak niestaranne ściegi -

jakby rozdarte niebo

trzeba było naprędce pozszywać

Drzew zaledwie kilka

jedno uschnięte

tytułowy pawilon ledwie się trzyma ziemi

Jedynie co ważne to mięsiste frędzle

- pionowe rzędy liter u góry obrazu -

w każdej chwili mogą się zsunąć

stworzyć pejzaż

udawać deszcz lub żerdzie parkanu

bujna zieleń zza której podglądasz

tyle a tyle - nie więcej

Taką to rolę chciałby grac

Komentarz

(z tomiku „Wstęp do teorii jawy”)

Patrzac na japońską rycinę

Deszcz i wichura - trudno o lepszy pretekst

żeby się pośmiać z nieszczęścia symetrii:

wiatr ją rozdmuchał

Drzewa wbrew korzeniom

cienie ledwo za nimi nadążą

Troje ludzi wspina się pod górę

krnąbrne parasole - co za widok

jakby ślimak stawiał dęba

Tamci dwoje wracają w pośpiechu -
góra ze świstem chrzęstem
rysuje niebo
kołysząc się we wszystkie strony

(z tomiku „Wstęp do teorii jawy”)

Tylko pędzel i tusz

Ani Beskiej

Brat cesarza podejrzany o spisek -
lekkoduch, mniej znaczący niż puszysty piesek
u stóp nefrytowego tronu,

wszystko za sprawą intryg:
plotkujące kobiety, rzezańcy, urażony mandaryn.

Udaje mu się zbiec, w ostatniej chwili
ocala go przyjazny smok rzeki

niosąc szybciej niż zwykle wąski listek łodzi.

Teraz, na zapadłej prowincji, sprzedaje ryby,
na poplamionym kimonie łuski - srebrne
jak dachówki pałacu podczas pełni.

Nocą maluje. Nigdy przedtem tego nie robił -
tani pędzelek opowiada o koniu:
nie kielznany, ze skrzydlatą grzywą,
mocniejszy od spiżu, od obłoków lżejszy,
pędzi na oślep - jak gniew, jak miłość.

(z tomiku „Wstęp do teorii jawy”)

Ten, który poprzez swoje wiersze

uczył ludzi kochać.



Ksiądz Jan Twardowski, fot. Elżbieta Lempp, culture.pl

Aleksandra Ziółkowska-Boehm: *Co jest najważniejsze przy pisaniu wierszy? Jakie Ksiądz ma przesłanie dla młodych poetów?*

Ksiądz Jan Twardowski: Chciałbym im powiedzieć, aby pisali autentycznie, byli takimi, jacy są. Nie powinni niczego udawać, bo w pisaniu wszystko się obnaża. Można uniezależnić się od świata z zewnątrz, wznieść się ponad, i robić swoje. W poezji cenię właśnie autentyzm, aby nie było zakłamania.

A.Z-B.: *O czym - według Księdza - powinno się pisać? Jak dalece sięgać po własną biografię?*

Ks.J.T.: O własnym życiu można pisać wciąż, o dylematach, które się napotyka, o nie zatraceniu nadziei, o miłości i odpowiedzialności, o zdolności przebaczenia. Anna Kamieńska powiedziała mi kiedyś: „...Droga - tym jest dla mnie poezja. Zwykła droga mojego życia. W poezji nie ma nic, jeśli nie ma biografii. W poezji musi być człowiek i jego przeżycia”. Zgadzam się z nią. Jest masę własnych problemów do rozwiązania, i można je pokazać także w poezji.

A.Z-B.: *A co jest istotą Księdza wierszy?*

Ks.J.T.: Myślę, że moja poezja jest bez erudycji, wielkich słów, ornamentów, dominuje w niej prostota, zwięzłość i humor. Obce mi są retoryka, dydaktyka i patos.

A.Z-B.: *Znani są księża-poeci, wymieńmy kilku: Karol Wojtyła, Janusz Pasierb, Wacław Oszajca, Wiesław Niewęgłowski, Janusz Ihnatowicz, Eligiusz Dymowski. Wiersze księdza czytają dzieci, ludzie młodzi i starsi, wierzący i niewierzący...*

Ks.J.T.: Myślę, że poeta powinien być towarzyszem ludzi wierzących i niewierzących, i szukać tego, co łączy, nie tego, co dzieli.

A.Z-B.: *Czy ma Ksiądz swój ulubiony wiersz?*

Ks.J.T.: Lubię wszystkie swoje wiersze, kilka szczególnie, np. wiersz „Spotkanie”.

A.Z-B.: *Przypomnę fragment:*

„... Samotność łączy ciała a dusze cierpienie

Ta jedna chwila

Nie potrzeba więcej...”

Jaką rolę spełnia poezja w Księdza rozumieniu?...

Ks.J.T.: Istnieje ogólna potrzeba porozumienia się z drugim człowiekiem, i poezja może tę rolę spełnić. Ja w ogóle jestem małomówny, a w pisaniu chcę się dogadać z drugim człowiekiem. Gdy piszę wiersz, szukam przyjaciela, i często go znajduję. Można wierszem poznawać i siebie, i drugiego człowieka.

A.Z-B.: *Poeta Jan Śpiewak napisał już w latach 60., że nie zna współczesnego poety polskiego, który byłby tak dobry dla ludzi, jak właśnie ksiądz. Mówi, że ksiądz szybciej pokochali czytelnicy, niż wydawcy. Teraz wydawcy prześcigają się w wydawaniu księdza kolejnych tomików wierszy. Poezja księdza trafia do wszystkich, niezależnie od wieku. Jak dalece cieszą księdza dowody okazywania sympatii, dobre recenzje, listy czytelników?*

Ks.J.T.: Zdaję sobie sprawę, że moje wiersze weszły pod strzechy i to mnie cieszy. Wzrusza mnie, że moje wiersze są dobrze przyjmowane, że ludzie piszą do mnie serdeczne słowa. Lubię dobre słowa na temat swoich wierszy, czytam je chętnie, wręcz z satysfakcją... Może karmię nimi własną próżność? Jestem wdzięczny każdemu, kto o mnie pisał.

A.Z-B.: *Anna Kamińska napisała wiersz zadedykowany księdzu „Dom pod dobrą nowiną”, gdzie między innymi:*

„...Kapłan dziecięcy karmi z ręki wiersze

co przylatują kiedy chcą jak szpaki...”

Jak powstają księdza wiersze? Czy wiersze Księdza „przylatują kiedy chcą”?

Ks.J.T.: Staram się pisać codziennie. Wiersze często same do mnie przychodzą. Czasami wystarczy jakby chwila i rodzi się pomysł, wtedy wiersz powstaje szybko, jakby od razu. A czasami wolno się pisze. Nie zawsze wiersze sypią się jak z rękawa, niektóre wymagają wielkiej pracy i czasu. Bywa, że muszę się nad wierszem namęczyć. Moje życie miałyby inny charakter bez pisania. Chciałbym wciąż pisać, to jest moje zawsze żywe marzenie. Uświadamiam sobie, że wiele wierszy nie mam wciąż napisanych.

A.Z-B.: *Jakie uczucie Ksiądz szczególnie ceni? Co się liczy w życiu? Bibliofilsko wydany przez Książnicę Pomorską w Szczecinie (1997) tomik wierszy nosi tytuł „Nie bój się kochać” (cytat z wiersza pod tym tytułem: „a miłość daje to czego nie daje... więcej niż myślisz bo jest cała Stamtąd...”). Czy właśnie miłość...?*

Ks.J.T.: Z uczuć oczywiście zawsze ważna jest miłość, ale i przyjaźń. Miłość wypala się, czy też jakby się uspokaja. Uczucie miłości to nie tylko zakochanie. Dawanie i

przyjmowanie w darze drugiego człowieka nie ma wiele wspólnego z erotyką. Ważne są uczucia serdeczności, przebaczenie. Kochać umie ten, kto umie przebaczać. Przyjaźń przetrwa życie. Są różne stopnie przyjaźni. Pisałem już o swoich przyjaźniach i wciąż o nich piszę – wiem, że ten temat się nie wyczerpie. Miałem piękną przyjaźń z Anną Kamińską, jej poezja była wielką, egzystencjalną.

A.Z-B.: *Jest książka „Rozmowy pod modrzewiem, ks. Jan Twardowski opowiada, ks. Waldemar Wojdecki notuje” (IW PAX, Warszawa 1999). Ksiądz Wojdecki był kiedyś księdza uczniem, gdy w 1957 roku ksiądz uczył języka polskiego. W książce tej jest wiele miejsca na temat przyjaciół Księdza, wielu z nich to ludzie twórczy. Których pisarzy i którą postać literacką Ksiądz szczególnie lubi i ceni?*

Ks.J.T.: Cenię Hansa Christiana Andersena, pisałem o nim. Cenię także twórczość skandynawskiej powieściopisarki Ingrid Undset. Chętnie sięgam także ogólnie mówiąc po literaturę hiszpańską. Z postaci literackich lubię sienkiewiczowskiego Zagłobę.

A.Z-B.: *Ksiądz pierwszy niewielki zbiorek wierszy przedwojennych nosił tytuł „Powrót Andersena” (1937), dlaczego właśnie taki tytuł?*

Ks.J.T.: Andersenem zachwycałem się w okresie mojego dzieciństwa, znam wszystkie jego baśnie, na przykład bardzo lubię opowieść o brzydkim kaczątku. Wiedziałem, że pochodził z biednej rodziny. Andersen mówi wiele o cierpieniu, samotności i ludzkiej wierze, która łączy to, co trudne: pozorny bezsens życia z mądrością i dobrocią Boga. Gdyby nie jego wiara, Andersen widząc niesprawiedliwość, doszedłby do pesymizmu Kierkegaarda czy Sartre’a. Nie wiele pisze się o Andersenie – chrześcijańskie, nie mówi się o Andersena miłości do przyrody, a tymczasem uczy on, że szczęście można znaleźć wszędzie w rzeczach najprostszych – w żyjątkach, jak ślimak, łabędź, ropucha, kaczątko, ale i w takich, jak krzesiwko, kufer, kalosze, pióro, nawet patyk.

A.Z-B.: *Podobnie jest w Księdza wierszach. Annie Bernat („Życie”, 10-12 kwietnia 2004) powiedział Ksiądz: „W moich wierszach zawsze było dużo najzwyczajniejszych, bagatelizowanych często stworzeń i roślin. Pokrzywa jest jedną z nich, rośnie tak blisko ludzi.”.*

Poezja Księdza jest także bliska dzieciom, z myślą o nich powstały takie tomiki, jak np. „Zeszyt w kratkę”, „Kasztan dla milionera”, „Patyki i patyczki”, „Kubek z jednym uchem”. Jak się pisze wiersze dla dzieci?

Ks.J.T.: Wolę pisać dla dzieci niż dla dorosłych. Dzieci są wdzięcznymi czytelnikami, pamiętają o mnie, przyznały mi Order Uśmiechu. Literatura dla dzieci nie odchodzi, powraca w następnych pokoleniach.

Będąc przy temacie dziecka - według mnie Janusz Korczak - doktor Henryk Goldszmit, zwany powszechnie Starym Doktorem, był chyba jednym z najserdeczniejszych mędrców, którzy się pokłonili Dziecku.

A.Z-B.: *Janusz Korczak był także pisarzem dla dzieci, jako autor „Króla Maciusia Pierwszego”, „Maciusia na bezludnej wyspie”. Kogo z polskich poetów czy pisarzy ceni Ksiądz szczególnie?*

Ks.J.T.: Z polskich poetów lubię Bolesława Leśmiana, z prozaików na przykład Wańkowicza. Cenię jego „Monte Cassino”, i lubię „Ziele na kraterze”. Tak Pani bliski Melchior Wańkowicz był mocno żywą postacią w polskiej rzeczywistości.

Przyjaźniłem się z poetami: Jerzym Andrzejewskim, Stanisławem Grochowiakiem, Jarosławem Iwaszkiewiczem, Januszem Pasierbem, Janem Śpiewakiem i wspomnianą wcześniej Anną Kamieńską

Moja przyjaźń z Anną Kamieńską to był dar od Boga. Gdy Kamieńska zaczęła pisać wiersze religijne i prace o Biblii („Twarze Księgi”, „Na progu słowa”, „Księga nad Księgami”, „Do źródeł - przyp. A.Z-B.) były to lata komunizmu i zaprzestano ją drukować w państwowych oficynach wydawniczych i zauważać jej twórczość. Do dzisiaj upraszcza się, gdy mówi się o Kamieńskiej jako o poetce katolickiej. Całość jej poezji odsłania dramat ludzkiej egzystencji, ale nie jest to widzenie katastroficzne.

A.Z.-B.: *Czy Ksiądz miał trudności w okresie komunizmu?*

Ks.J.T.: Opowiem Pani zdarzenie, o którym wcześniej mówiłem księdzu Wojdeckiemu. Jako młodego księdza ze Żbikowa zabrano mnie do Urzędu Bezpieczeństwa, i zaczęto mi opowiadać... że nie ma Boga. Wtedy ja powiedziałem - Dowody nie są mi potrzebne - bo ja Boga widziałem... Zamilkli, jeden z ich wstał i

powiedział:

- Ksiądz jest wolny. Wypuścili mnie i więcej nie wzywali.

Powiedziałem prawdę, bo ja mam wrażenie od zawsze, że Boga widzę.

A.Z-B.: *Kamieńska w swoim „Notatniku” nawiązuje do wspólnych z księdzem rozmów, wędrówek po cmentarzu Powązkowskim, kazań. Jest słynna fraza wiersza zadedykowanego Kamieńskiej, którą wszyscy znają, wszyscy rozpoznają: „Spieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą...”.*

Ks.J.T.: Pisząc te słowa nie myślałem o śmierci, Kamieńska wtedy była zdrowa. Pisałem o odejściu, gdy ktoś inny staje się nam bliższym, z kolei inni zapominają o nas. W mojej przyjaźni z Kamieńską nastąpił okres, gdy coś się oddaliło. Ale tak bywa z przyjaźnią, przybiera różne barwy. Nie można jej utrzymać - i dzięki Bogu - w tej samej tonacji.

Kamieńska odpowiedziała mi wierszem „Puste miejsca”, którego początek brzmi:

„Nikogo nie zdążyłam

Kochać

Choć się tak spieszyłam,

Jakbym musiała kochać

Tylko puste miejsca...”

A.Z-B.: *Ponownie przywołam słowa, które Ksiądz powiedział Annie Bernat: „Dochodzi do rozstań, bo właśnie się spóźniliśmy z okazywaniem uczuć, nie daliśmy odczuć bliskiej osobie jak jest ważna i wyjątkowa”.*

Swoje wiersze dedykował ksiądz nie tylko Annie Kamieńskiej, ale i Aleksandrze Iwanowskiej, Barbarze Arsobie, Zbigniewowi Herbertowi. Niektórzy poeci dedykowali księdzu wiersze, jak np. Agata Tuszyńska.

Andrzej Sulikowski napisał, że, “Jeśli wiersze ks. Jana czytać w skrytości, w

dniach opuszczenia i depresji, okaże się, że wyjdziemy stamtąd inni: wewnętrznie wzmocnieni. Wyrozumieli dla bliźnich, łagodni dla siebie. Gdy dusza znajduje pokrzepienie, to wszystkie klęski zewnętrzne marnieją, odmładza się nawet ciało (jak mówią psalmy). (poślowie do: Nie bój się kochać, Książnica Pomorska 1997)

W wierszach Księdza pełno gołębi, kruków, gęsi, psów. Pełno roślin, trawy, drzew i pełno różnych żuków i chrząszczy. Te wiersze są szczególnie bardzo zapamiętywane. Jak bardzo ksiądz obcuje z przyrodą?

Ks.J.T.: Od dawna czytam książki przyrodnicze, zbieram zielniki. Przyroda jest mi bardzo bliska, nie koniecznie musi być dostojna czy wspaniała. Lubię na przykład widok ze swojego okna - na modrzew. Jest on rozłożysty, nie pnie się do nieba, ale skromnie rozkłada gałęzie, daje cień, aby pod nim można było odpocząć.

Zatrzymując się przy cytacie Sulikowskiego, cieszę się, że moje wiersze mogą kogoś pocieszyć. To duża sprawa.

A.Z-B.: *Jak Ksiądz patrzy z odległości swojego mieszkania w starej Kapelanii przy Krakowskim Przedmieściu w kościele sióstr wizytek w Warszawie na... Amerykę?*

Ks.J.T.: Gdy byłem dzieckiem i małym chłopcem - imponowali mi Indianie. Potem Ameryka kojarzyła się z dobrobytem, dobrze było mieć wujka czy ciocię w Ameryce. Byłem w Stanach na stypendium Jurzykowskiego i uświadomiłem sobie, jaki to wielki i skomplikowany kraj.

To stypendium zawdzięczałem Zbigniewowi Herbertowi. Kiedy przyjechał do Lasek przedstawiciel Fundacji tej nagrody i pytał Herberta, komu należałoby ją przyznać, ten wysunął moją kandydaturę. Przyjechałem na dwa tygodnie do Stanów Zjednoczonych i miałem spotkania z Polonią amerykańską.

A.Z-B.: *Ksiądz jest stale związany z Warszawą. Tutaj urodzony (1 czerwca 1915 roku), tutaj była nauka w gimnazjum im. Tadeusza Czackiego i gazetce gimnazjalnej „Kuźnia Młodych” miał miejsce Księdza debiut poetycki i prozatorski. Studia polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim przerwane wojną (skończone w 1947 roku). W czasie wojny był Ksiądz żołnierzem Armii Krajowej, uczestniczył w Powstaniu Warszawskim. W 1947 roku nauka na pierwszym tajnym, Seminarium*

Duchownym w Warszawie, święcenia kapłańskie w 1948 roku. W 1959 roku objął Ksiądz stanowisko rektora kościoła Sióstr Wizytek przy Krakowskim Przedmieściu i mieszka tu do dzisiaj. W niewielkim mieszkaniu w drewnianej Kapelanii odwiedza Ksiądz wiele osób, jest ono wypełnione pamiątkami, darami. To miejsce jest niemal rodzinnym miejscem Księdza.

Ks.J.T.: Mój dom rodzinny przy ulicy Elektorальной spłonął w czasie Powstania. Jeszcze chcę dodać, że Jako wikariusz, zaraz po wyświęceniu, pracowałem w Żbikowie nie tak daleko od Warszawy, blisko Pruszkowa. Poza zajęciami w Kościele, uczyłem w dwóch szkołach, jedna była dla Dzieci Specjalnej Troski. Kontakty z dziećmi upośledzonymi umysłowo utrzymuję do dnia dzisiejszego. Napisałem dla nich wiersz („Do moich uczniów” -A.Z-B.). W Żbikowie moim pierwszym proboszczem był kanonik Franciszek Dyżewski, który dużo mówił o Matce Boskiej Częstochowskiej, której był czcicielem. Organizował piesze pielgrzymki do Częstochowy. Mam kolekcję obrazów Maryjnych, jak i wiele innych cennych pamiątek. Od Pani dostałem namalowany na szkłe obraz Matki Boskiej indiańskiej ze szkoły indiańskiej św. Józefa w Chamberlain w Południowej Dakocie. Madonna ma rysy indiańskie. Jakże jest wzruszający, trzymam go w oknie swojej sypialni. Wiele tych zgromadzonych pamiątek przypomina mi odeszłych już na zawsze przyjaciół.

A.Z.-B.: *Niektórych zaprzyjaźnionych z Księdzem ludzi już wspomnieliśmy w tym wywiadzie, w książce „Rozmowy pod modrzewiem” wspomina ksiądz jeszcze innych, na przykład przyjaciela Warszawy i kolekcjonera Stanisława Szenica, profesora Wacława Borowego, u którego pisał Ksiądz prace magisterską na temat Juliusza Słowackiego, Księży: Janusza Pasierba, Jerzy Wolffa, Jana Ziębę. W tym przypominaniu o nich jakby wciąż żyją, jakby śmierć ich całkiem nie zabrała.*

Ks.J.T.: Prawdą jest, że nieobecni są z nami najbliżej, ale po śmierci człowieka zawsze pozostaje żal, że za mało się okazywało wdzięczności...

Żal, że się za mało kochało

Że się myślało o sobie

Że się już nie zdążyło

Że było za późno...

A.Z-B.: *W wierszach Księdza jest także swoiste umiłowanie swojego wyboru życiowego, swojego powołania.*

Ks.J.T.: Kapłaństwo to wielka łaska. W moim życiu cieszę się, że żyłem w okresie pomyślnym dla Kościoła, w czasie Soboru Watykańskiego II, który ogromnie rozszerzył spojrzenie na Kościół. I że byłem świadkiem upadku komunizmu, który wydawał się tak potężny. Mówiono, że upadnie na skutek wielkiej wojny, a on rozleciał się jak domek z kart. Byłem także świadkiem wielkich pontyfikatów: Jana XXIII, Pawła VI, Jana Pawła II. Uważam, że miałem szczęśliwe kapłaństwo.

A.Z-B.: *Jak Ksiądz chciałby, by zatytułować nasz wywiad?*

Ks.J.T.: Nie lubię słów: poezja i poeta – jest jakieś zadęcie w tych słowach. Wolę, by o mnie mówiono: ten, który pisze wiersze. Ja składam, układam wiersze. Na przykład: Ten, który poprzez swoje wiersze uczy ludzi kochać... Taki tytuł by mi się podobał.

Rozmowy z księdzem Janem Twardowskim odbyły się w październiku – listopadzie 2003 i w czerwcu – lipcu 2004 w Warszawie.

Wywiad ukazał się w języku angielskim w „The Polish Review”, New York, Nr 4, 2004 i po polsku we wrocławskiej „Odrze”, 2005 oraz w „Liście oceanicznym” styczeń 2006.

Wiersze z Australii



fot. Anna Fiala (Australia)

Anna Habryn

Wieloryb na brzegu

Przyjaciele zostali z drugiej strony wody

Albo pomarli

Jeszcze nie zapomniałem jak odchodziła ostatnia z dziewczyn

Mam pięćdziesiąt pięć lat

Jeszcze mógłbym coś robić - tam

Kiedyś pracowałem przecież

Jedyna przyjemność jeść

Tyję bo łykam prochy

Depresja

Twarzą w piach

odwracam się od słońca piach jest drobniutki, przylega do skóry wysusza jestem
coraz

suchszy w środku na wiór tylko za ciężki żeby się unieść jak kloc przewalam się z

boku na bok w zasięgu wzroku trawa szorstka i piasek dłonie pieszczotliwie
ostrożnie

próbują dotknąć, pomóc zachęcić do wysiłku lecz woda już daleko, odpływ zabiera
nadzieję

na ocean, gdzie przestwór wypełniony życiem

drobiny planktonu

kołyszą się z falą kompletnie szczęśliwe

dają się pochłonać wypełniając misję

wielcy i mniejsi gonią za jedzeniem

pożeracze i pożerani w zgodzie
z porządkiem świata

Leżę bezsilnie i czuję żal

Tęsknię, śnię morze

Outback

Outback się rodzi z legendy
z zardzewiałego złomu
czerwonej od rudy ziemi
porytej przez ludzką chciwość

Tutejsi ludzie głoszą piękno
zachodów słońca i bezmiaru nieba
istnienia bez reszty świata
przyrody co żyje własnym życiem
i nie poddaje się bez walki.

W buszu zagubione dusze kołują

miedzy pierzastą nadzieją obłoków
a piekielnym żarem kamieni.

Ziemia nie syci ich głodu
nie zaspokaja pragnienia.

Opustoszałe miasteczka
wspomnienia marzeń wycinają z blachy
i ustawiają wzdłuż smutnych ulic
dla przejeżdżających turystów.